

Historia mojej prababci Zosi

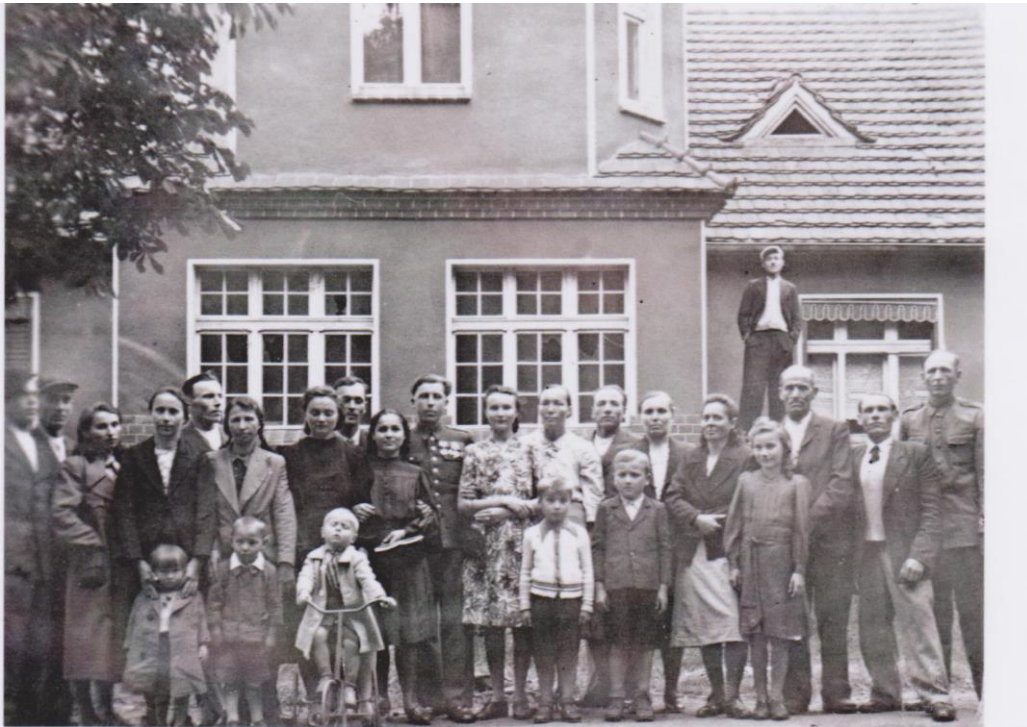
Witajcie! Nazywam się Mateusz i opowiem Wam historię mojej prababci Zosi, która przyjechała do Wołowa mając 11 lat i została tutaj aż po dziś dzień. Dnia 7 lipca 1946 r. po trzech tygodniach spędzonych w wagonie towarowym jadącym z Leżajska, prababcia wraz z rodzicami i dobytkiem zajechała na dworzec kolejowy w Wołowie.



Fot. Wagony, którymi mała Zosia przyjechała do Wołowa.

Widok jaki zastali po opuszczeniu pociągu nie napawał optymizmem, miasto było spalone, zniszczone, domy były porozbijane. Miasto nie było zniszczone przez działania wojenne, lecz żołnierzy radzieckich, którzy po zdobyciu Wołowa, Ścinawy i okolicznych miejscowości zostawiali za sobą spalone i ograbione domy. Prababcia wraz z rodzicami osiedliła się na tzw. Gancarzu. Społeczność, która przyjechała wcześniej lub później, trzymała się razem. Każdy się bał o siebie, ponieważ dookoła było pełno Niemców i nikt nie wiedział,

czy zostaną tu tylko na chwilę, czy zagrzeją miejsce na dłużej.



Fot. Zdjęcie przedstawia mieszkańców Gancarza, którzy przyjechali z różnych stron i osiedlili się w Wołowie, zrobione jesienią 1947 roku. Dziewczynka czwarta od prawej to moja prababcia Zosia (sukienkę ma uszytą ze spadochronu, który pewna kobieta znalazła w lesie i dzięki niemu powstało dość dużo ubrań dla dzieci), a na murku stoi jej tato Antoni - mój prapradziadek.

Życie jakoś się toczyło. Obchodzone były Święta, odbudowywano domy, każdy cieszył się chwilą. W jednym domu potrafiło mieszkać po kilka rodzin, bo wiadomo, że w większej grupie raźniej i bezpieczniej. Ludzie, którzy posiadali jakieś zwierzęta hodowlane, spali z nimi w stajniach, barykadowali się od środka, ponieważ Ruscy przychodzili w nocy, wykradali i rznąli zwierzyne, aby tylko się najeść. Po przyjeździe prababcia poszła do 4 klasy szkoły podstawowej, która mieściła się na ulicy Chopina. Warunki jakie tam panowały nie należały do najgorszych, ponieważ gdy mieszkali tu Niemcy, też mieściła się tam szkoła. Wszyscy uczyli się razem, starsze dzieci wraz z młodszymi, dopiero po około 3 miesiącach dzieci zostały podzielone na grupy odpowiednie do ich wieku. W tamtym czasie starsze dzieci kończyły wtedy 2 klasy w ciągu jednego roku, żeby szybciej skończyć szkołę. Dzieci było w pewnym momencie tak dużo, że część z nich musiała zostać przeniesiona w inne miejsce, aby każdy mógł się uczyć. W budynku, w którym powstała nowa szkoła nie było nic ani ławek, ani stołów, kto mógł przynieść jakieś krzesło, ktoś inny jakiś stół, wszyscy razem siedzieli w

jednej sali poubierani ze względu na zimno jakie panowało w budynku. Jak zimno nie dawało za wygraną, każde dziecko codziennie przynosiło ze sobą ze trzy polana drzewa, nauczyciel rozpałał w piecu i nauka mogła trwać dalej. Atrament do pisania każdy nosił ze sobą w buteleczce. Pióra do pisania zrobione były z drewna.



Fot. Rok 1947, zdjęcie szkolne prababci.

Po przeniesieniu do kolejnej szkoły na ulicę Spacerową, warunki znowu się poprawiły. Dzieci zbierały makulaturę, która później została sprzedana i za te pieniądze został zakupiony atrament w dużych butelkach, który stał zamknięty w szafie. Na przerwie dyżurny chodził i dolewał każdemu dziecku atrament, żeby starczyło na kolejną lekcję. Oprócz nauki w szkole dzieci były zabierane na odgruzowywanie bocznych uliczek miasta. W tamtych czasach nie było różnicy między dziećmi. Każde było biedne. Buty niektórych były tak podarte, że aby jakoś chodzić, powiązane zostały sznurkami, żeby tylko podeszwa się trzymała. Kolejnym wątkiem dobrze zapamiętanym przez prababcię było zwożenia na teren Wołowa Ruskich, tzw. własowców, którzy byli przetrzymywani na terenie tutejszego więzienia. Byli to żołnierze Armii Czerwonej, którzy zwrócili się przeciwko władzy radzieckiej. Raz na tydzień byli oni ładowani do wagonów przy dźwiękach orkiestry i wywożeni do Rosji. Dokąd trafiali, tego prababcia nie wie. Jako zdrajcy, którzy poddali się Niemcom najprawdopodobniej trafiali do obozów rosyjskich. Po pewnym czasie, Niemców z tych terenów zaczęto wywozić. Dzięki temu zaczęło się zwalniać dużo domów oraz mieszkań, w których mogli osiedlać się Polacy. Pierwszy szpital mieścił się przy ulicy Wojska Polskiego, w małym domku z tarasem przystosowanym do przyjmowania chorych. Szczegóły te zostały zapamiętane dlatego, że

prababcia była świadkiem jak do szpitala, na wozie wypełnionym słomą, zostało przywiezionych troje dzieci, które zostały bardzo ciężko ranne podczas zabawy w rozbrajanie granatu. Ludzie nie narzekali na brak zajęcia, pracy było sporo od odbudowywania zniszczonego miasta, po rozładowywanie wagonów kolejowych z najrozmaitszymi towarami jak mąka czy węgiel (prapradziadek pracował później w składzie węgla). Duża część ludzi pracowała w tartaku. Na obrzeżach miasta mieściły się też dwie cegielnie, które dawały ludziom zarobić na chleb. Jednym z większych zakładów w okolicy była Rokita w Brzegu Dolnym, gdzie pracę mogły znaleźć nawet setki osób. Przez kilka lat po wojnie w wołowskich koszarach stacjonowało Wojsko Polskie. Prababcia pamięta jak raz na jakiś czas byli wyprowadzani na ćwiczenia właśnie do lasu na Gancarz. Zimno, deszcz padał, a oni dostali rozkaz na ćwiczenia i szli zmoknięci. W lesie była strzelnica, która działa aż do dziś. Cmentarz niemiecki na Gancarzu służył później Polakom do chowania swoich rodaków. Ze wspomnień wynika, że było tam pięknie, mnóstwo rododendronów, piękna droga krzyżowa na blasze malowana. Ludzie schodzili się zewsząd na tą drogę krzyżową, była piękna kaplica zbudowana z bali z zapierającą dech w piersiach Pietą wielkości człowieka, przedstawiającą Matkę Boską trzymającą na kolanach Jezusa po zdjęciu z krzyża. Nie wiadomo co się z tym stało, kaplica została rozebrana, Pieta zniknęła, droga krzyżowa została zabrana na renowację i nigdy już nie wróciła na swoje miejsce. Na cmentarzu są pochowani chłopcy, którzy wrzucili do ogniska granat, trzech z nim straciło życie, czwarty został tylko ranny. Przy cmentarzu na Gancarzu mieścił się też cmentarz jeńców czeskich. Prababcia pamięta, że za dzisiejszym Technikum Rolniczym były baraki, w których byli przetrzymywani właśnie ci jeńcy. Co roku na Wszystkich Świętych, począwszy od roku 1946, z Czech przyjeżdżał autobus z rodzinami, które straciły swych bliskich w obozie. Wszystkie nagrobki były identyczne, każdy z nich miał betonową łezkę, na której był numer. Prababcia wie, że istniała lista osób, które zostały tam pochowane z przypisanymi numerkami, ale nigdy jej nie widziała. W 1947 roku była też świadkiem ekshumacji syna pewnego lekarza, który przyjechał z Czech zabrać ze sobą swojego syna.



Fot. 12 letnia prababcia, na zdjęciu ze swoją siostrą. Rok 1947.

Praca została wykonana dzięki opowiadaniom mojej prababci Zosi Pilcickiej - mieszkanki Wołowa od 1946 roku.